

URLOP

Mówiło się zawsze, że wrzesień, październik to złota polska jesień, a tu leje, leje, leje! Urlop czy wakacje? No... formalnie urlop, ale słowo „wakacje” ma w sobie smak lata i beztroski, a „urlop” jest takie... drewniane, sztywne. Wakacje oznaczały zerwanie się z łańcucha, zapomnienie o szkole, obowiązkach – to był zapach lasów i pól, pastwisk, wolności i kwaśnych jabłek, i gacie rozdarte na płocie sąsiada, gdy się po te jabłka wdrapywałem.

Kiedy to było...? O, dawno. Bardzo dawno. Ciągle jeszcze czuję to ssanie w brzuchu na przednówku, wiosną, gdy tak się każdemu z nas chciało owoców! Byle co dojrzało na krzaku, drzewie – nie czekaliśmy, jedliśmy zielone, niedojrzałe jabłka, porzeczki kwaśne jak zbójcecki ocet, rabarbar maczany w cukrze, morwy...

Dzisiaj dzieciaki mają owoce cały rok, i to takie, o których ja w dzieciństwie nie słyszałem nigdy – banany, mango, pomelo, grejpfruty, kiwi... Popatrzyłem z ciekawością w samochodowe lustro, a nuż pokaże mnie tamtego – chudego piegusa z odrapanymi kolanami? No, nie. To ja dzisiejszy – pięćdziesięciolatek, z posiwiałą przedwcześnie głową, poszarzonymi oczami, stary, jak mi się zdaje, i zmęczony nieładzko. Czym? A przede wszystkim tym, co się wydarzyło ostatnio.

Dostałem wolne we wrześniu. Tak napisałem w deklaracji urlopowej – September, żeby się załapać bez problemu, bo większość facetów z naszej stoczni, tych młodszych, wybiera się na wypoczynek latem, szczególnie ci, co mają dzieci. Ja nie mam małych dzieci, właściwie rodziny też. Od jakiegoś czasu jestem już sam. Ciężko to sobie uświadczać, ale jakby nie było, paradoksalnie sam tego chciałem.

Od kilku lat pracuję za granicą, w Finlandii, w stoczni, w Turku. Tak wyszło. Stocznie w Polsce to ropiejący wrzód na naszych sercach. Kurczę! Porty, stocznie to okno na świat! Mamy tyle linii brzegowej morza, a stoczni nie umieliśmy utrzymać, powyzdychały jedna za drugą na wstyd i sromotę. Szlag by to trafił! Tylu nas wyleciało na bruk... Stąd moja emigracja zarobkowa, praca w Finlandii ciężka, ale satysfakcjonująca, bo w zawodzie. I teraz radość, że w końcu na urlop jadę do Polski. Wreszcie wakacje! Ech! Zapomnieć o wszystkim!

W Finlandii też jest piękna jesień, podobna do naszej. Jest ładnie, ciepło i w tym roku nie pada tak jak tu, ale... Polska to Polska, tu mogę do każdego się odezwać, wiem, co i jak, jestem u siebie. W Finlandii – ciągle nie. Niby już sporo rozumiem, niby znam przepisy, obyczaje, w końcu mieszkam już parę lat, ale... to nie mój kraj. Wciąż czuję się obco. Nie wiem, czy nauczę się jak Karol, mój najbliższy tam kumpel, Polak, być „obywatelem świata”. Na razie przyjechałem do kraju i oto jestem!

Lubię wrzesień w Polsce. Lubię go tym bardziej, że będzie mniej ludzi wszędzie. U Ali, do której jadę, podobno w ogóle jest tylko jedna osoba, bo pada i ma padać, ludzie odwołali rezerwację. Szkoda, że tak leje, ale może przestanie i będą grzyby.

Zatrzymałem się na kilka dni u mamy i Krysi, na Śląsku, ale nie chciałem im siedzieć na głowie. Pobyłem z mamą, pogadałem z Grześkiem, siostrzeńcem, fajny chłopak z niego wyrósł, spędziłem z Maćkiem, mężem Kryski, wieczór na „nocnych Polaków rozmowach”, popijając znakomitą palinkę. Pojadłem domowych dań, głównie barszczu ukraińskiego i maminych pierogów, i wyciąłowałem na pożegnanie każdą z osobna – mamę i Kryskę.

– Cześć, siostra, dzięki, że się tak mamą zajmujesz.

– Daj spokój, Wiesiek, mama martwi się o ciebie. Sam tak będziesz żył na obczyźnie? Nie masz tam nikogo?

– Nie mam, Krysiu. Nie jest mi źle. Patrz, jestem zdrów i zadbany, praca jest, i to zaledwie o kilkanaście godzin jazdy samochodem stąd, jeśli nie liczyć promu, jakoś sobie radzę. Fińskiego wciąż nie znam, ale sporo rozumiem, zresztą w stoczni mówi się dużo po angielsku. Mama mnie nauczyła przyszywać guziki, prać, prasować też umiem, więc nie zginę.

Radziłem sobie dotąd, to i dalej poradzę. No, pa! – westchnąłem i wsiałem do samochodu.

Chyba jesteśmy jako rodzeństwo bliżej niż kiedyś. Więcej wiemy o życiu, o sobie, od kiedy jest internet, pisujemy do siebie co jakiś czas szczerze maile. Trochę wspieram Krysię finansowo. Nie jest jej łatwo, bo mama wymaga rehabilitacji po wylewie. Taki lajf... Do mamy pisuję zwykłe, papierowe listy. Mama niby umie klikać w klawiaturę, ale woli papier. Jest trochę staromodna.

Na Mazury jechałem od nich przez Warszawę. Olga, moja przyjaciółka z Finlandii, Białorusinka, dała mi paczkę i list dla młodszej siostry Ludoczki, pracującej jako tancerka w Warszawie, i do przyrodniego brata – Oresta. Zakotwiczył się w Polsce od ponad roku. Rzeźbi ołtarz dla kościoła gdzieś koło Ornety. Jeszcze do tego wrócę...

Z Ludą umówiłem się w Warszawie przed knajpą „Sofia”, w której pracuje. Czekala na schodach. Ze zdjęcia poznałem ją natychmiast. Śliczna, zgrabna, długowłosa blondynka, z twarzy podobna do Olgi, tylko szczuplejsza. Szczerze mówiąc, wygląda na jej córkę. W lokalu jeszcze pustawym, ciemnym wypiliśmy z nią kawę i pogadałem chwilę po polsku. Zaciągała z rosyjskim akcentem. Jest poważna, żadnej kokieterii, same konkrety – zawodowa uprzejmość? Lekko spięta, miła. Nie zatrzymywała mnie, podziękowała za fatygę i odprowadziła na parking, pytając, co u Oli.

– A ty i u Oresta budiesz? – spytała mnie obojętnie i dodała jakby dla wyjaśnienia: – To moj dwojurodnyj* brat, mówiła Ola?

– Mówiła – zapewniłem ją. – Dała mi dla niego przesyłkę. Spędzę teraz urlop na Mazurach, a on pracuje gdzieś tam niedaleko. Odwiedzę go, tylko później.

– Odwiedź, on jest bardzo miły, dobry. – Luda uśmiecha się i tłumaczy: – Zapraszał mnie, ale wiesz, cziasu mało. Ja dużo pracuju. Pozdrów go. My do siebie piszem maile – do dała po chwili.

– No to będę jechał, do widzenia! – pożegnałem Ludę, całując ją w dłoń, co w widoczny sposób ją skrępowało.

* Dwojurodnyj (ros.) – cioteczny.

Lekko się zmieszała i pobiegła do lokalu, machając mi na odjezdne.

Z trudem wyjechałem z tego potwornego miasta. Nie mógłbym tu mieszkać. W domu zaś, w moim małym, nadmorskim mieście, nie mam czego szukać. Syn mieszka w Trójmieście i pływa, nie ma go aktualnie w kraju. Córka też ma swoje sprawy, właśnie jest na wakacjach w Chorwacji.

Choć Krysia nalegała, żebym u niej został dłużej, nie chciałem, wolałem pojechać gdzieś, gdzie się wybyczę i jakoś pozbieram, bo ostatnio wzięło mnie na uzalanie się nad sobą i w klatce piersiowej coś ciasniej mi bywa... Muszę odpocząć, pomilczeć, pomyśleć. Założyłem, że w starym, znanym mi miejscu na Mazurach będą wolne pokoje. Okazało się, że są i to dużo, z powodu wrednej aury.

Dawno temu, po ślubie, jeździliśmy z Aśką do kurortów, na wczasy. Później znaleźliśmy to mazurskie letnisko u pani Aliny. Dzisiaj jest to pensjonat o nazwie „Pod Dębem”. Przypomniałem sobie Alę. Znamy się bardzo długo. Niemożliwe, że aż tyle! Mój Boże! Jeździliśmy do niej przez wiele lat, jak jeszcze dzieci były małe, Joanna milsza... Ala młodsza... Pamiętam jej męża Zygryda. Zmarł dość młodo na wylew. Ala już tyle lat we wdowieństwie, ciągnie pensjonat sama z bratem Mietkiem – niemową.

Za późno wyjechałem z Warszawy! Ściemnia się i jeszcze ten deszcz. Żebym tylko nie przegapił skrętu z głównej szosy. Radio mnie wkurza. Rozprasza. To nie moja muzyka! Stara dobra Trójka – wróć! Gdzie jesteś, panie Kaczkowski, z *Minimaxem*? Gdzie są przeboje z dawnych lat? Posłucham Pink Floydów. Moje lata...! Moja młodość! *Wish You Were Here* – acoustic.

Jestem sam. Facet z odzysku. Singiel. Modne określenie kogoś, kto żyje samotnie. Oczywiście dorabia się do tego teorie, że to samotność z wyboru, że sam nie oznacza samotny... Tere-fere. Czasem ta samotność aż boli, gdy nie ma z kim pogadać. Przyjaciele to za mało. Pusty dom, cisza rozganiana muzyką, nikogo, kto by tę ciszę zburzył, zachwiał codzienną rutyną, coś mówił, robił inaczej niż ja. A tak... mam swoje rytuały, powtarzane do znudzenia, „Dzień Świstaka”... Ale i tak lepsze to niż sceny, jakie robiła Aśka, awantury, które męczyły, zostawiały przykry osad, gorycz, żal. Ech...

O, jasna cholera! Pojechałem za daleko. Zamyśliłem się, zagapiłem. Przewaliłem o jakieś dziesięć kilometrów! Zaufałem pamięci, zamiast zdać się na GPS-a. Muszę zawrócić. Pada i pada. Robi się ciemno. U Ali walnę się spać i będę kiwał dwa dni! W pokoju, po kąpieli, heineken zrobi swoje. Mam prawie całą skrzynkę w bagażniku. Nikt już mi nie będzie jeździł po głowie i sumieniu, że wpadam w alkoholizm, niszczę rodzinę i swoje zdrowie. Szklanica albo dwie dobrego piwka w knajpie z Karolem albo z Olgą, z kolegami. Okazjonalnie szklaneczka rudej, czyli whisky. Też mi alkoholizm!

Jest zjazd w lewo. OK. Ależ tu się pozmieniano! Byliśmy tu ostatni raz razem... dziesięć lat temu. Sądziłem wówczas, że to miejsce, wspomnienia, wakacje, Ala i jezioro ulecżą moją złością, że uratujemy nasz związek. Optymista! Po kilku zaledwie dniach podczas jakiejś rozmowy Aśka obraziła Alę i po totalnej awanturze musiałem ją odwieźć na przystanek PKS. Zaparła się i... wróciła do domu sama. Karała mnie za to, że stanąłem po stronie Ali. Głupi temat – dzieci i ich wolność. Argument Aśki, że Ala nic nie wie, bo nie jest matką i... się rozkręciła, rzucała ostre argumenty, krzyczała, obrażała. Niepotrzebnie jak zawsze.

Na przystanku PKS dostałem taką musztrę, że okolica słyszała. Z użyciem słów ostatecznych: „Jak śmiałeś mnie ośmieszać?!” „Naturalnie ja już nic dla ciebie nie znaczę!”, „Wracaj sobie do swojej Aluni, skoro to taka wyrocznia!”

– Aśka, zmiłuj się. Uważam, że Alka ma rację. Dorosłe dzieci nie wymagają aż takiej kontroli i już. Zdania nie zmienię, ale czy trzeba się o to tak awanturować?!

– Awanturować?! To ja się awanturuję? Ja się tylko bronię, bo zdanie matki już się nie liczy! A ja jako matka wiem, co mówię! – I terkot, że ona wraca sama i mam się jej nie pokazywać na oczy!

Wtedy, wieczorem, stara Alunia siedziała ze mną na werandzie i kiwała głową.

– Moim zdaniem, Wiesiek, to ona jakaś ranna na duszy jest.

– Ranna?! – zamyśliłem się. – Może masz rację, ale ja mam już dość. Pół życia walczyłem z tymi jej skokami nastrojów, emocjami. Namawiałem na specjalistę, na jakąś terapię. Sam bym z nią poszedł. Może faktycznie coś z nią nie tak, ale

wbrew niej samej, no powiedz. A może ja jestem jakiś popapwany?

Siwa, stara Ala pogładziła mnie po głowie i westchnęła.

– Albo wam niepisane... Nie ta kobieta, Wiesiu... Jak ty to wytrzymujesz? – dziwiła się. – Ona tak często?

Machnąłem ręką. Nie chciałem o tym rozmawiać, wydało mi się, że nie wypada obgadywać Joanny za jej plecami.

Gawłowo już za mną, zaraz będę na miejscu! Kościół... o, chyba odnowili. Wymurowali niskie ogrodzenie. W skrzynkach pełno tych, no... Nie cierpię ich zapachu! Pelargonii. Nawieszane na tym murku jak na majówki. I latarnie. Kiedyś nie było. A za Gawłowem już brak oświetlenia. Teraz muszę uważać na skręt w polną drogę, koło wielkiego dębu i kapliczki. Na polach ciemno, już po zniwach, ziemia po zbiorach, gdzieś po orce, w ogóle już ciemno. Dżdżysto, mglisto, wzrok już nie ten!

Kiedyś do Gawłowa jeździliśmy rowerami, często wracaliśmy z wycieczek nocą, bez problemu, a teraz oczy mi łzawią, gdy próbuję wypatrzeć w ciemnicy kapliczkę. Była biała, zawsze się rzucała w oczy. Jest! Szara. Chyba nikt jej nie malował od dawna. Polna droga, kręta jak sznur od telefonu, poprowadzi mnie już do Ali, nad jezioro. Jak dobrze, bo jestem potężnie zmęczony.

Alusia powitała mnie siwa i mniejsza, niż ją pamiętałem, postarzała się bardzo. Popłakała się na mój widok, ze wzruszenia. Jej brat, głuchy Mietek, poznał mnie, nawet przywitał z lekkim uśmiechem i podał rękę. Na dachu ich domu zobaczyłem talerz.

– O, Alu! Satelitę masz? – komentuję nową zdobycz.

– No. Teraz Miecio ma to, co lubi! Sporty se różne ogląda, zwierzaki... no!

Uśmiecha się już prawie bezzębna, chyba ciut zażenowana, ale wyraźnie rada.

– Jak interes, Alu? Mówiłaś, że mało masz ludzi we wrześniu.

– Mało, Wiesiu. Latem to było! A teraz nie mam dużo. Tylko jedna pani jest, to nie gotuję w pensjonacie. Wpadaj, zawsze talerz zupki ci dam, bo pitraszę dla mnie i Mietka. Śniadania i kolacje rób sobie sam, w kuchni, na parterze, co? Ona, ta pani, sama się obsługuje. Zresztą prawie nic nie je i nie widać jej. Mów, co u ciebie, u dzieciaczków.

Pogadałem z Alą, skąpo opowiedziałem, co u mnie. Kiwała głową.

– No, to sobie odpocznij, masz tu klucze na górkę.

W apartamencie na pięterku, na które się wchodzi zewnętrznymi schodami, walnąłem się do spania, ukojony piwem i męczącą drogą. Deszcz bębnił miarowo o blachę na dachu, było mi ciepło i wszystko jedno, niech pada... Mam nadzieję, że jutro przestanie i pójdę sobie na grzyby za Czarcią Górkę, pooddycham lasem i pomyślę. O czymkolwiek, ale teraz – nie. Teraz spać, a... „budzikom śmierć”!

